Malcolm Jameson

Raj nierobów

(Bullard 4)

(Slacker's Paradise)

Astounding Science-Fiction, April 1941
Tłumaczenie Witold Bartkiewicz © Public Domain

Całą kolekcję tłumaczonych przeze mnie utworów SF znaleźć można pod adresem:
http://archive.org/search.php?query=subject%3A%22WB_kolekcja%22&sort=-publicdate

Przy stoliku w rogu sali „Spidera Hintona" na Junonie, siedziało trzech młodych oficerów. Jeden z nich przez cały czas bębnił w blat stołu niespokojnymi, nerwowymi palcami i z wyraźnym niezadowoleniem rozglądał się po lokalu. Pozostali dwaj byli odprężeni i zdawali się dobrze bawić, oglądając podstawki swoich kieliszków i obserwując, jak zaczynają się zbierać dziewczyny. Wszyscy trzej nosili smukłe srebrne odznaki półksiężyca, a także zwykłe insygnia Ziemskiej Straży Kosmicznej.

To właśnie ten półksiężyc i to co on oznaczał, tak irytowało porucznika[1] Alana MacKaya, ZSKSR[2], klasa 5. W języku urzędowym oznaczało to po prostu „oficera o ograniczonych kwalifikacjach", ale dla niecierpliwego młodego MacKaya i ogółu społeczeństwa – w tym dla dziewcząt, które krążyły wokół marynarzy floty, i dla personelu samej floty, a zwłaszcza dla personelu samej floty – oznaczało to: niewykwalifikowany, niewyszkolony, nieprzydatny. To znaczy niedoświadczony i niekompetentny. Oznaczało to, że noszący te insygnia był prawdopodobnie pyszałkowatym młodym osłem, przebranym za oficera Straży, robiącym całkiem imponujące wrażenie przy stole do herbatki, lecz będącym kompletnym zerem w zimnej jak śmierć próżni. A Alanowi MacKayowi bardzo się to nie podobało.

Niezwykle go irytowało, że jego wydawałoby się cudowne szczęście, iż otrzymał patent oficerski i objął dowództwo nad łodzią PK, będąc jeszcze młodszym oficerem w Yalnell, przypisywano potężnemu politycznemu wpływowi matkującej mu ciotki Clary. Ponieważ była to prawda. Z makiaweliczną przebiegłością pociągała za każdy sznurek, aby zapewnić mu najwyższą możliwą rangę i najwygodniejszą pracę. Nie wiedział o tym, choć zaczął podejrzewać to później na podstawie losów swych comiesięcznych próśb o przydział do bardziej aktywnej służby. Jednak teczka, która zawierała historię jego służby w Departamencie, oblepiona była niewielkimi notkami w rodzaju: „Nie przenosić tego oficera do innej służby bez rozmowy ze mną – JBH, admirał", „Tylko SP", co oznaczało tylko służbę planetarną, oraz innymi podobnymi do nich. Ilekroć myślał o swojej cioci Clarze, przeklinał ją cicho pod nosem i ani razu sumienie nie sprawiało mu wyrzutów z powodu rażącej niewdzięczności.

Sala zaczynała się wypełniać południowym tłumkiem. Dwie dziewczyny zatrzymały się na chwilę przy ich stoliku. Chorąży[3] Hartley machnął na nie, zaraz gdy weszły.

— Usiądźcie — zaprosił je — i wypijcie z nami parę głębszych. Mamy wolne przez resztę dnia.

---

[1] W oryginale Lieutenant (jg) - Lieutenant Junior Grade – stopień w marynarce Stanów Zjednoczonych, odpowiadający polskiemu porucznikowi marynarki (przyp. tłum.).
[2] Ziemska Straż Kosmiczna Siły Rezerwowe, w oryginale T.S.G.R.F. - Terrestrial Space Guard Reserve Force (przyp. tłum.).
[3] Chorąży – *Ensign* – stopień odpowiadający w polskiej marynarce podporucznikowi (przyp. tłum.).

— Wy! Phi! — odparła jedna z nich, kręcąc głową. — Was rezerwujemy na nudniejsze czasy. Dzisiaj będą tu prawdziwi żeglarze – tacy którzy walczą. — Pociągnęła za ramię swoją towarzyszkę. — Chodźmy, moja droga, nie możesz pozwolić, żeby *tamci* przyłapali cię na gadaniu z planetarnymi gnidami. — Odeszły.

— Sam się o to prosiłeś, ty cholerny głupcze — warknął drugi chorąży, Terrell. — Czy nie czytałeś tablicy, kiedy weszliśmy do portu wracając z patrolu? Przylatuje tu *Polluks*. Jest cały postrzelany jak sito po tej wielkiej bitwie koło Trojan. Leci do Bazy Księżycowej na generalny remont. Każdy majtek na pokładzie otrzymał rozetę Novej, a Kapitan Bullard zdobył diamentową zapinkę do swojego Krzyża Niebios. Najlepiej będzie jeśli się stąd wyniesiemy i schowamy w mysiej dziurze, dopóki nie odlecą.

— Tak — zgodził się porucznik MacKay, wstając, ponury i czerwony na twarzy.

Wyszedł z sali do szatni, gdzie wisiały ich skafandry. Oficerowie i marynarze z ośmiu innych łodzi PK właśnie wchodzili i zdejmowali pancerze kosmiczne, aby móc wejść na parkiet. MacKay skinął zdawkowo głową jednemu czy dwóm z nich, po czym kiwnął na swoich młodszych oficerów, by wyszli za nim na zewnątrz.

— Może urządzić nam inspekcję — powiedział zwięźle, — wróćcie na pokład i zróbcie statek na błysk. — Dodał z niesmakiem już tylko do siebie: — Nie możemy walczyć, ale możemy świecić i błyszczeć – jakby taki człowiek jak Bullard dbał o lśniący pokład!

Bullard był dla niego tym, kim stał się praktycznie dla każdego młodego mężczyzny i chłopca na pięciu planetach – idolem. Kto nie słyszał o jego wyczynach w tej ponurej i długotrwałej wojnie między Federacją Planet Wewnętrznych a Imperium Jowisza? A teraz Bullard był tutaj! Alan MacKay skrzywił się. To oznaczało, że będzie musiał się z nim spotkać, ponieważ etykieta była tu rygorystyczna. Wszyscy młodsi dowódcy statków musieli złożyć wyrazy szacunku każdemu starszemu, który ich odwiedzał. Był jednocześnie podniecony i zawstydzony, bo choć był dużym, dobrze zbudowanym facetem z dobrym wykształceniem, nosił na piersi ten wiele mówiący półksiężyc – piętno nieprzydatnego. I co z tego, że był dowódcą ZSK PK 331? Rubaszne piosenki Służby i starych wilków nieba miały tylko jedno określenie dla takich jednostek. Brzmiało ono „raj nierobów”.

Dokładnie w tym samym ponurym nastroju, porucznik MacKay obserwował lądowanie potężnego potwora kosmosu obok swojego małego statku, zaparkowanego na zewnątrz cienkiej kopuły Hebeportu. Podziwiał rozmiary okrętu, który mimo to sprowadzany był na lądowisko z widoczną, budzącą zdumienie łatwością i sprawnością. W dodatku doniesienia o uszkodzeniach statku nie były przesadzone. Na każdej płycie poszycia widać było ślady walki.

Dwie trzecie fałszywego dziobu kolizyjnego *Polluksa* zostało odcięte, a to co z niego pozostało pokrywała niebieska łuska, wskazująca, że był to

skutek działania potężnego promienia wodorotlenowego. Prawie każdy metr kwadratowy jego poszycia był pospiesznie połatany nitowanymi płytami. Jedna płetwa była zupełnie stopiona, a pozostały z niej żużel został wyrzucony w stronę rufy wzdłuż kadłuba, w którym wciąż tkwiły jego wielkie zamarznięte grudy. W miejscu gdzie powinny znajdować się deflektory odrzutowe statku, widać było dziwnie i prymitywnie wyglądającą prowizoryczną konstrukcję, a dziura w dnie była wszystkim co pozostało z dolnej wieżyczki.

Ale statek opadł zgrabnie i bez pomocy sił naziemnych. MacKay dalej stał, przyglądając się mu i zastanawiając jak wygląda w środku, ponieważ tak samo jak i pozostali koledzy z Patrolu Junony, nigdy nie postawił stopy na pokładzie dużego okrętu. Powiedziano mu, że był wyładowany od dziobu po rufę maszynami i urządzeniami, ale nie potrafił sobie wyobrazić takiej ilości maszyn. Jego głównymi przedmiotami w szkole były języki międzyplanetarne; wszystkiego co wiedział na temat fizyki i mechaniki, nauczył się na swoim małym PK 331.

MacKay zobaczył otwierający się właz naziemny i wyszedł z niego człowiek – z pewnością musiał być to Bullard – w towarzystwie kilku innych osób. Ruszyli przez lądowisko w stronę wejścia do kopuły, gdy nagle zatrzymali się na środku wolnej przestrzeni i obrócili twarze ku górze. Z przeciwnej strony zbliżał się mały statek, i sądząc po otaczającej go koronie jasnych płomieni, gwałtownie zwalniał. Pomimo krótkiej służby i ogólnej ignorancji w sprawach przestrzeni, MacKay nauczył się rozpoznawać te oznaki. Była to jedna z łodzi kurierskich w służbie specjalnej Rady. Żadne inne jednostki nie latały w tak szalonym, wypalającym rakiety tempie.

Grupa Bullarda czekała w miejscu gdzie stali, aż łódź wyląduje i wielkimi skokami podbiegnie do nich sprintem przez lądowisko, jakiś człowiek. MacKay widział, jak Bullard bierze od niego białą kopertę i obraca ją w dłoniach, podczas gdy posłaniec kilkoma gestami przekazywał dodatkowe wiadomości. Bullard najpierw pokręcił głową, potem skinął nią, i człowiek ruszył z powrotem w stronę swojego statku.

Niezależnie od tego, co kapitan Bullard miał zamiar zrobić wcześniej, przybycie tego statku najwyraźniej zmieniło jego plany. Zamiast iść dalej do kopuły, raptownie zmienił kierunek i skierował się prosto w stronę rzędu łodzi PK. MacKay przekazał ostrzeżenie do swoich ludzi w środku i wysłał jednego z nich, aby pobiegł wzdłuż rzędu statków, zastukał w kadłuby i pobudził znajdujące się w nich załogi.

Sam zaś stał i czekał, a na plecach pojawiła się mu gęsia skórka. Jego statek, który przyleciał jako pierwszy, stał na końcu rzędu, tak że dopiero jak Bullard obejrzał sobie całą resztę, okrążył dziób stojącej sąsiedniej łodzi i ruszył prosto na MacKaya. Odpowiedział energicznie na salut młodszego stopniem oficera i zapytał:

— Czy mogę prosić o pozwolenie na inspekcję pańskiej jednostki, panie poruczniku?

MacKay przytaknął głupio, ale nie musiał. Bullard minął go i już był w środku. Młody szyper PK 331 przepuścił najpierw oficerów, którzy byli z Bullardem, a potem wszedł za nimi na pokład. Bullard był już w połowie

inspekcji. Wyszedł z kącika prowadzącego do maszynowni i do sterówki. Zwrócił się do jednego ze swych pomocników.

— Najlepszy ze wszystkich, co?

Oficer, do którego się zwrócił, skinął głową.

Bullard wprawnymi palcami pogładził gałki i przyciski panelu sterowania, po czym uniósł wzrok na lewoburtową gródź. Przez chwilę na jego ustach zagościł ponury uśmiech, po czym stłumił go szybko. Popatrzył na purpurowego na twarzy MacKaya, który dyszał jak wyjęta z wody ryba. W oczach słynnego kapitana *Polluksa* pojawił się błysk pytającego rozbawienia.

— Jeden z moich ludzi, panie kapitanie — wyrzucił z siebie MacKay, rumieniąc się aż do nasady włosów. — Otrzymał przeniesienie do floty. Czuliśmy, że powinniśmy ją tutaj umieścić.

To była mała jedwabna flaga – pojedyncza czerwona gwiazda na jasnoniebieskim tle. Jej odpowiednik dumnie wisiał w milionach domów na Ziemi, Wenus i Marsie. To była flaga czynnej służby. Oznaczała ona, że jeden z domowników poszedł na wojnę.

— A więc — stwierdził kapitan Bullard, — tak o tym myślicie?

Uśmiech zniknął teraz z jego twarzy, a spojrzenie zrobiło się przenikliwe i twarde. Ani razu nie opadło poniżej poziomu oczu MacKaya, ale młodszy oficer miał wrażenie, że jest badany od stóp do głów. Nie miał żadnej wskazówki od Bullarda, jaka powinna być odpowiedź na jego pytanie.

— T-t-tak jest, panie kapitanie — przełknął ślinę. — Tak właśnie myślimy.

Kapitan Bullard nadal patrzył na niego nieubłaganym wzrokiem. MacKay czuł, że oczekuje się od niego czegoś więcej.

— Och, panie kapitanie — wybuchnął. — Ja nie prosiłem się o to – to moja kochająca ciotka – próbowałem i próbowałem, ale oni wciąż odrzucają moje listy – to... to...

— Dość! — oznajmił Bullard, twardo jak młotem. — Liczy się nie to, co się robi, ale to, jak się to robi. Jest takie stare ziemskie powiedzenie: „Służą też ci, którzy stoją i czekają”. Nie zna się pan na artylerii, ośmielę się twierdzić, ani nie odróżnia pan jednego końca torpedy od drugiego. Może panu brakować w znacznym zakresie szczególnej wiedzy, której wymaga nasz zawód. To wszystko oznacza dla mnie pański Księżyc w nowiu. Ale *coś* pan wie. Liczy się to jak pan to wykorzysta w prawdziwej nagłej sytuacji – a nie to, co pan powinien wiedzieć.

Porucznik Alan MacKay, ZSKSR, klasa 5, skinął żałośnie głową. Brzmiało to rozsądnie, pocieszająco i uczciwie, ale w głębi serca wiedział, że wykonuje puste, bezużyteczne i upokarzająco bezpieczne obowiązki, podczas gdy w grę wchodzi bieg całej historii. Kapitan Bullard obrócił się w miejscu, gdzie stał.

— Chciałbym porozmawiać z panem porucznikiem, na osobności — powiedział cicho.

Kiedy pozostali się wycofali, zwrócił się ponownie MacKaya.

— Zaraz będzie miał pan swoją szansę. Widział pan, jak przybyła łódź kurierska? Jest kompletnym wrakiem. Nie da się jej naprawić w ciągu kilku dni. Ale jej kapitan przekazał mi wiadomość, która musi pójść dalej. Jest ona ściśle tajna i bardzo pilna, i nie może zostać przesłana przez eter. Musi być dostarczona do rąk własnych naczelnego dowódcy lub w przypadku niepowodzenia, przekazana mu ustnie. Obecnie znajduje się on w okolicach Układu Jowisza, utrzymując tam naszą blokadę. Jak szybko może pan wystartować?

— W ciągu godziny, panie kapitanie — odpowiedział zaskoczony MacKay. Teraz, kiedy otrzymał to, o co błagał, był wystraszony. Czy jest dostatecznie dobry? Czy da radę to zrobić? A jeśli mu się nie uda?

Jednak Bullard nie zawahał się. Wyjął kopertę zapieczętowaną, jak dostrzegł MacKay, ciężką pieczęcią stanu.

— To — oznajmił Bullard, — napisane jest otwartym tekstem, a nie zaszyfrowanym kodem, i są ku temu powody. To „RP” w dolnym przednim rogu oznacza „ryzyko posłańca”. To jest upoważnienie dla pana, gdyby groziło panu przechwycenie lub utrata dokumentu, aby go otworzyć i przeczytać tak by zapamiętać jego zawartość. Potem ma pan go zjeść lub zniszczyć całkowicie w inny wybrany sposób. Następnie musi pan dołożyć wszelkich starań, aby przekazać go naczelnemu dowódcy, w razie potrzeby znosząc tortury, by nie ujawnić jego treści. Czy jest pan gotów podjąć się tego zadania?

MacKay popatrzył w stalowe oczy Bullarda. Zobaczył w nich że nie wolno mu uniknąć tego obowiązku. To pytanie nie było pytaniem – to był rozkaz.

— Jestem — odparł po prostu i wyciągnął rękę po wiadomość.

— Proszę, dać mi swoje pokwitowanie — powiedział stanowczo kapitan Bullard.

Ręka porucznika MacKaya nieco drżała, kiedy wypisywał pokwitowanie, ale gdy wręczył je, został nagrodzony przyjaznym uśmiechem człowieka, którego od tak dawna podziwiał – a którego jeszcze przed chwilą tak bardzo się obawiał.

— Panie MacKay, proszę pamiętać — Bullard popatrzył na papiery — że jeśli zostanie pan złapany przez wroga, będzie pan zdany tylko na siebie. Wszystko będzie wtedy zależeć od pańskiego osądu i zdolności do działania. Spoczywa na panu wielka odpowiedzialność. Proszę się nie bać robić to co pan musi. Niech pan pamięta, że w poważnej sytuacji każde działanie jest lepsze niż brak działania.

MacKay poczuł jak przez mgłę ciepły uścisk dłoni, klepnięcie w ramię i jego bohater z dzieciństwa odszedł. Sekundę później otrząsnął się z tego nastroju i mocno wcisnął przycisk alarmu ogólnego. Było wiele do zrobienia, jeśli mieli przygotować się do startu w ciągu godziny.

MacKay obejrzał się za siebie, gdy opuścił Hebeport. Kopuła z leżącymi pod nią bazą i barem, wyglądała jak dziesięciocentówka na

chodniku, widziana z okna z piątego piętra. Zaś czarne statki spoczywające na zewnątrz niej na ozonowym śniegu, jak muchy – jedna wielka, reszta niewielkie jak kropeczki. Ani Hartleyowi, ani Terrellowi nie powiedział dokąd się wybierają ani dlaczego. Podał tylko kurs i obiecał wyjaśnić wszystko w odpowiednim czasie. Hartley był pomocnikiem astrogatora, zaś zadaniem Terrella była obsługa silników. Wsparciem dla Hartleya był Red Dugan, rudowłosy sternik o piegowatej twarzy. Pomocnikiem Terrella był Billy Kelsey, radiooperator, lepiej znany jako „Radio”[1]. Spośród nich tylko „Radio” nie nosił srebrnego półksiężyca. Był starym marynarzem z Rezerwy Floty, służącym czynnie już dawno temu, w czasie wczesnych wojen marsjańskich.

Aż do tej chwili MacKay nigdy wcześniej nie czuł na sobie ciężaru odpowiedzialności. PK 331 pod względem ogólnej charakterystyki był bardzo podobny do jego własnego jachtu, i porucznik nigdy nie miał żadnych obaw co do swej zdolności obsługi jednostki. Uzbrojenie statku było tak słabe, że nigdy się nim nie przejmował. Składało się po prostu z 10 mm działka laserowego, nadającego się co najwyżej do wysadzania zbłąkanych min. Łodzie PK po prostu zostały zbudowane do służby patrolowej, a nie do walki. Teraz jednak, być może będą musieli walczyć lub uciekać, a ponieważ nie mogli zrobić tego pierwszego, nie pozostawiało to im innego wyboru, jak tylko to drugie. To zaś, jak pokazały szybkie obliczenia, było prawie tak samo niemożliwe.

MacKay ciągle próbował obliczyć, w jaki sposób przy niskim promieniu swych rakiet, mógłby osiągnąć najlepszą możliwą szybkość lotu w stronę Floty, zachowując wystarczającą ilość paliwa w rezerwie, by móc uchronić się przed niespodziewanymi sytuacjami, gdyby nagle taka niespodziewana sytuacja się pojawiła. To sternik Red zaanonsował jej nadejście. Badał rozciągającą się przed nimi przestrzeń, za pomocą niezbyt czułego starego termoskopu Mark 1, w który wyposażony był SP 331.

— Coś przed nami jest, coś dużego — zameldował.

Red przyciągnął do siebie książkę, która zawierała wzorce powstające z różnych kombinacji promieniowania podczerwonego pochodzącego z mieszanych substancji. Przeglądał indeks rzeczowy, aż doszedł do kodów, które pasowały do tych widocznych na płycie czołowej termoskopu. Odczytał z książki:

„LT-848-501, uzupełniony plamkami typu F: zasilany atomowo typ BBB, z wyłączonym napędem, ale działającymi systemami pomocniczymi. Zwykle wykazuje pięć jednostek odległości przy normalnym natężeniu. Zastosować regułę odwrotności kwadratu dla innych odczytów.”

To mogło oznaczać tylko jedno: spoczywający w pobliżu jowiszański pancernik najpotężniejszej klasy! Federacja bowiem nie używała niczego większego niż wysoce wyspecjalizowane krążowniki klasy Star, takie jak *Polluks*.

Niemal w tej samej chwili z szumem i trzaskiem obudził się do życia televox. Przemówił z niego gardłowy głos:

— *Phraedon? Seznik ng aut flotzkrigen zub snugelbisker! Phraedon?*

[1] W oryginale – Sparks – standardowe określenie radiooperatora na statkach (przyp. tłum.).

— Co to znaczy? — wrzasnął Hartley.

MacKay przysłuchiwał się uważnie, kiedy wiadomość się powtórzyła. Znał dialekty jowiszowe lepiej w formie pisanej, niż mówionej.

— Chce wiedzieć, czy jesteśmy Ziemianami. Mówi, że jeżeli tak, to mamy podejść do jego boku i przygotować się do rozmów o kapitulacji.

Mówiąc to, przekręcił deflektor odrzutowy, aby gwałtownie zanurkować w dół i ostro w prawo. Jednocześnie wcisnął przycisk, który wyzwalał największą moc rakiet.

— Zajmij się statkiem, Hartley, ja muszę coś zrobić.

Świadomość, że nie udało mu się wykonać jedynej prawdziwej misji, jaka została mu powierzona, niemal zaskoczyła MacKaya. Czuł że struny głosowe ma napięte i sparaliżowane, a na czole pojawił mu się zimny pot, jeszcze silniej spływający po żebrach. Wiedział jednak, że nadeszła chwila aby zniszczyć tę ważną wiadomość. A jednak się wahał. Czy naprawdę zostali przyłapani przez Jowiszan? Jakże bowiem Jowiszanin, nieważne jak wielki, mógł umknąć chmurom krążowników krążących wokół Jowisza i jego planet?

Czekał, niezdecydowany, z palcami spoczywającymi bez przerwy na skrzydełku zapieczętowanej koperty. „Radio”, gwałtownie otworzył drzwi kabiny radiowej i wystawił przez nie głowę.

— Przyszła wiadomość z *Polluksa*. Za chwilę będzie zdekodowana wersja — zatrzasnął drzwi.

— Jak nam idzie? — zapytał nerwowo MacKay Hartleya.

— Kiepsko — odparł Hartley. — Jest już w polu widzenia - wielki bydlak, z czarno-białymi szachownicami na burtach – teraz gromadzi energię.

„Radio” wyszedł ze swej dziupli. Kartka, którą wręczył MacKayowi, głosiła:

„Dla pańskiej informacji: ODWOŁANIE OPERACJI Dyr-Gen do Naczelnego Dowódcy: Dokończyć odwrót zgodnie z wcześniejszymi rozkazami. Oczekiwać na dalsze rozkazy w Bazie Marsjańskiej. Wiadomość o statku kurierskim zmieniła miejsce docelowe.”

MacKay już nie czekał. Drżącymi palcami rozerwał cenną kopertę i wyjął z niej cienką pojedynczą kartkę papieru. Wiedział już, że blokada została zarzucona z nieznanych mu powodów i flota Jowiszan mogła swobodnie się wydostać. Rozłożył kartkę papieru i przeczytał.

Przeskoczył kwiecisty nagłówek. Pismo było od Wielkiej Rady Federacji do naczelnego dowódcy. Pierwszy akapit pełen był pochlebnych słów o tym, jak dobrze spisała się flota. Drugi mówił o trudach, ponoszonych przez trzy planety w czasie długiej wojny, o straconych milionach ludzi i wydanych bilionach soli. Wysokość opodatkowania stała się obecnie nie do zniesienia. Trzeci akapit brzmiał:

„Aż do tej pory mieliśmy nadzieję, że nasza blokada przyniesie w końcu zwycięstwo, ale ostatnie informacje mówią nam, że plony *flerig* na wszystkich satelitach Jowisza są w tym roku bardzo obfite, a stada

leezvartle, po poddaniu intensywnej hodowli, są w rzeczywistości większe niż na początku wojny. Ponieważ nieprzyjaciel ma nieograniczone zasoby minerałów, jasne jest, że nie możemy już liczyć na zwycięstwo. Stąd też polecenie wycofania się.

Proszę poinformować Jego Cesarską Mość, że wysyłana została komisja pokojowa i poprosić go o natychmiastowe zawieszenie broni. Ogólnie rzecz biorąc, nasze warunki będą następujące:

Uznanie panowania Jowisza nad wszystkimi planetami i satelitami zewnętrznymi; podział asteroid ustali konferencja, jak również wysokość odszkodowania, które wypłacimy…”

MacKay zbladł jak ściana. To było potworne, haniebne! To że Federacja miałaby teraz przegrać, po uwolnieniu połowy cierpiących planet kontrolowanych przez bezwzględnych i agresywnych Kallistian i wygraniu wszystkich wielkich bitew tej wojny, było tchórzostwem nie do pomyślenia. Przecież dawali Cesarzowi Jowisza - samozwańczemu, ponieważ na początku był on tylko kallistiańskim żołnierzem fortuny – nawet więcej, niż kiedykolwiek miał on nadzieję zdobyć. A ostateczną degradacją była ta niechciana i haniebna oferta wypłaty odszkodowania!

Jeszcze raz przebiegł oczyma tę niewiarygodną wiadomość. Wtedy PK 331 gwałtownie się szarpnął.

— Zaczepili nas promieniem trakcyjnym! — krzyknął Hartley.

MacKay oderwał pasek papieru od wiadomości Rady i zwinął go w kulkę, którą włożył sobie do ust. Za nim poszedł kolejny i kolejny. Do czasu gdy mały statek patrolowy został wciągnięty do portu kosmicznego porywacza, połknął ostatni z nich. Pokryta wieloma czarnymi pieczęciami koperta została zamieniona w popiół, który powoli rozdrobnił między palcami.

Televox obudził się do życia ze słowami:

— *Lu supnitte af trelb vittervang — LOSHT!*

— Są cholernie uprzejmi — mruknął porucznik MacKay, przypinając sztylet ze złotą rękojeścią, który był ceremonialnym potomkiem miecza. — Czy jego ekscelencja zechce wejść na pokład – proszę! — przedrzeźniał z goryczą.

Powiedzieć, że porucznik Alan MacKay był zaskoczony, gdy wyszedł z wewnętrznego włazu śluzy *Dravala*, byłoby rażącym niedopowiedzeniem. Żeby to dokładnie określić, był po prostu oszołomiony.

Wzdłuż ścian przejścia ustawił się rzędem orszak ośmiu ludzi, a grupa czterech muzyków, dmuchających w hałaśliwe piszczałki *zibl*, które nadają muzyce Io ten jej szczególnie upiorny efekt, oddawała mu pełne cesarskie – chociaż wyjątkowo kakofoniczne – honory. Dwóch gigantycznych bębniarzy wybijało rytm werbli. Za nimi stał w obszytym złotem stroju admirał i jego sztab, wszyscy wychudzeni i wynędzniali, ale ubrani w pełen strój galowy.

MacKay zasalutował niezgrabnie. Był zdumiony, widząc jak głęboko skłonił mu się admirał, który robiąc to jednocześnie, odpiął klamrę

własnego sztyletu. Gdy wyprostował się z ukłonu, zrobił dwa kroki do przodu i wręczył swój oręż MacKayowi.

— Proszsze — oznajmił — niech pan go wezzzmie. My chciecz rozbicz go na kawalki – ale Ziemanie w poszondku. Teraz my wziącz szszallupy i odleczecz. My dostacz z powrotem *Draval* kiedy indrzej, nie? — spoglądał na MacKaya proszącym spojrzeniem.

— Myślę, że lepiej nam pójdzie, jeśli przejdziemy na ioński — zasugerował porucznik MacKay, spoglądając ogłupiale na symbol kapitulacji, który trzymał w dłoni. Nie bardzo wiedział, co z nim zrobić. Impulsywnie oddał go admirałowi. — Czy dobrze rozumiem, że to pan poddaje się mnie? — spytał, ciągle nie mogąc uwierzyć.

— Teeek — odparł admirał i kolejnym zamaszystym ukłonem wskazał, że MacKay może wejść dalej na statek, aby wysłuchać powodów tego co się wydarzyło.

Szli długim, błyszczącym korytarzem. Po obu stronach MacKay widział przez odporne na eksplozje glasytowe grodzie, masy ogromnych lamp próżniowych; zestawy kondensatorów i transformatorów; niezwykle skomplikowane maszyny, złożone z dziwnie zamontowanych helis, świecących kul i dosłownie całych mil lśniących drutów. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak nazywa się którakolwiek z tych maszyn ani jakie są ich funkcje.

Admirał wszedł do luksusowego gabinetu i usiadł ze zmęczeniem. Wydawał się bardzo słaby. Cała jego świta w tajemniczy sposób gdzieś zniknęła.

— Zniszczyliśmy naszego nadzorcę – statek, który był w całości obsadzony przez Kallistian – i zabiliśmy wszystkich kallistiańskich oficerów, jakich mieliśmy na pokładzie. Udało nam się przemknąć przez waszą najskuteczniejszą część blokady i dotarliśmy tak daleko, ale obawiam się, że nie możemy już lecieć dalej. Dlatego właśnie oddaję statek pod pańską ochronę.

MacKay zamrugał oczyma. Pod jego ochronę! Pomyślał słabo o 10 mm działku micro-Bertha, PK 331. To wszystko było zbyt idiotyczne, za bardzo zwariowane. Czuł się jak we śnie. Ale admirał mówił dalej, żarliwie i błagalnie. MacKaya przywróciła do rzeczywistości seria ostrych wstrząsów, których szarpnięcia przez chwilę rzucały statkiem.

— Mój personel i reszta załogi startują w łodziach ratunkowych — wyjaśnił admirał. — Trzymają jedną dla mnie. Muszę jak najszybciej do nich wracać.

— A-ale…

— Nazywam się Jallikat – być może słyszał pan o mnie – byłem jednym z pierwszych ludzi, którzy opowiadali się za zjednoczeniem satelitów Jowisza. Oczywiście nie miałem pojęcia, jakimi tyranami okażą się Kallistianie, ani jakiego fantastycznego szaleńca mają za przywódcę. Nie muszę chyba opowiadać, w jaki sposób Europa i Ganimedes zostały nakłonione do przyłączenia się do nas, ani kolejnych naszych podbojów w innych miejscach. Ale teraz, to już koniec. Imperium jest pustą skorupą przeżartą zniszczeniem. Zbiory *flerig* to kompletna porażka. Nasze niegdyś ogromne stada *leezvartle* zostały wyrżnięte aż do ostatniego zwierzęcia…

MacKay drgnął. Był to przykład tego, co zręczna propaganda może zdziałać, aby unieszkodliwić wroga.

— Kallistianie mają w tej chwili na głowie więcej lokalnych buntów, niż mogliby sobie z nimi poradzić. Pewnego dnia się załamią, bo ludzie głodują. Wasza blokada, mój młody przyjacielu, pokonała ich.

— Zastanawiasz się, dlaczego przyprowadziłem wam ten pancernik. Powiem ci. Słyszeliśmy słowa waszego dyrektora i ufamy mu. Powiedział, że celem wojny jest wyzwolenie podległych narodów. No cóż, kiedy nadejdzie ten dzień, Io będzie potrzebowało floty i życzymy sobie, aby te statki, które zawsze były obsadzone przez mieszkańców Io, zostały oszczędzone, jako jądro przyszłej marynarki naszego narodu. Nie ufamy waszym sojusznikom, Marsjanom. Albo wcieliliby je do swojej własnej floty albo zniszczyliby je, aby nie dostały się w inne ręce.

Admirał uśmiechnął się z nadzieją.

— Teraz, gdy dostarczyłem go bezpiecznie do pańskich rąk, czy mam pańskie pozwolenie na powrót do moich ludzi?

— Oczywiście, z pewnością — odparł niedbale MacKay. Był zbyt dumny, żeby coś do tego dodać. Niemalże zanim się zorientował, admirał wyszedł. Chwilę później miał miejsce ostatni dudniący wstrząs. Porucznik Alan MacKay poczuł dziwne mrowienie na całym ciele. On – który nosił półksiężyc – był absolutnym dowódcą największego statku wojennego na niebieskich szlakach. Pancernik był oczywiście, pusty i pozbawiony załogi, ale jeszcze wczoraj nawet takie statki, jak niezłomny *Polluks*, nie odważyłyby się do niego zbliżyć, chyba że w liczbie sześciu dywizjonów. To sprawiło, że poczuł się trochę słabo.

MacKay pozbierał się i wyszedł na korytarz. Nie był pewien, którędy tu przyszedł, ponieważ po drodze było kilka skrętów. Statek był ogromny, dziwny i niesamowity, w panującej na nim ciszy. Jednak po kilku nieudanych próbach, które jeszcze bardziej nauczyły go pokory, znalazł śluzę powietrzną. Wyprostował się i wziął głęboki oddech. Pięć sekund później wszedł do sterówki – o wymiarach osiem na osiem – mikroskopijnego PK 331.

— To nie żart, chłopcy – oznajmił, rozpaczliwie starając się zachować nonszalancki ton – ale właśnie wzięliśmy do niewoli pancernik. Zostawcie nasze maleństwo tak jak jest i chodźcie na pokład naszego pryzu. Obejrzyjmy go sobie.

Cztery pary oczu wpatrywały się w niego, cztery usta wykrzywiły się w niedowierzającym uśmiechu. Po chwili odezwał się Terrel.

— Ok, wchodzę w to. Na czym polega dowcip?

— Mówię serio — oznajmił poważnie MacKay. — Dowcip polega na tym, że na jego pokładzie nie ma żywej duszy i ani grama jedzenia. Nie wiemy, jak stoi z paliwem ani z czymkolwiek innym. Naszym pierwszym zadaniem jest dowiedzieć się tego wszystkiego.

Eksplorowali ten statek jak górnicy, badający nowo odnalezioną grotę. Raz po raz gubili się lub utykali w ślepych zaułkach. Minęła prawie

godzina, zanim dotarli do sterówki, osadzonej za grubym pancerzem, w samym środku statku. MacKay znalazł tam zestaw planów i wyciągnął je. Pośpiesznie przetłumaczył niektóre z ważniejszych znajdujących się na nich symboli, aby dać wskazówki swoim pomocnikom.

— Tutaj — powiedział do Terrella, — to jest układ systemu napędowego, łącznie z urządzeniami pomocniczymi. Weź ze sobą Reda i zobacz czy uda ci się dowiedzieć, w jaki sposób ten statek się porusza, jak utrzymać włączone światła i inne tego rodzaju rzeczy. Bądź czujny i wszystkiemu dokładnie się przyglądaj, kiedy będziesz to robił. Niezależnie od efektów, zamelduj się mniej więcej za godzinę. Niech „Radio" zlokalizuje radio i daj mi znać, gdy tylko będzie mógł zacząć nadawać. Ty, Hartley, weź ten plan i rzuć okiem na magazyny. Nie zdziwiłbym się, gdyby proch się zepsuł. Jeśli tak się stało, zalej go lub zasyp, żeby odciąć powietrze. Poszukaj etykiet na ścianach, obok zamkniętych zaworów. Jeśli znajdziesz „*Belligish*" coś, to znaczy „zgasić". Nie wiem, jak mógłbyś narobić czegoś złego, jeśli odkręcisz któryś z zaworów.

Po ich wyjściu MacKay pobieżnie zbadał sterówkę. Tysiące znajdujących się w niej urządzeń, musiało wymagać ze dwudziestu ludzi do obsługi, a bardzo niewiele z nich było mu choćby odrobinę znanych, pomimo że był doświadczonym żeglarzem jachtowym. Zrezygnował z prób ich rozgryzienia i zajął się przeglądaniem co ważniejszych dokumentów statku.

To, co zawierały, było dostatecznym potwierdzeniem tego, co przekazał mu admirał. Prośby o niezbędne zaopatrzenie były odrzucane, albo przesyłano materiały zastępcze. Znaczna część korespondencji dotyczyła awarii jakiegoś rzekomo „równie dobrego lub nawet lepszego" substytutu. Poczuł się lepiej, co do swych instrukcji dla Hartleya, kiedy dowiedział się, że połowa magazynków amunicyjnych statku została już zasypana z powodu pogarszającego się stanu prochu.

Ale najbardziej fundamentalnym było pytanie, które nieustannie kołatało się mu po głowie. Co powinien zrobić z przewożoną wiadomością? Porzucić ten pancernik i kontynuować dalszy lot w PK 331? A może informacje, które właśnie zdobył, tak istotnie zmieniały sytuację, że nie miało znaczenia, czy wiadomość zostanie dostarczona? Postanowił nawiązać łączność radiową z Terrą, przekazując wieści, które uzyskał, i poprosić o dalsze instrukcje, pomimo tego że zgodnie z regulaminem żaden posłaniec nie mógł kwestionować swoich rozkazów.

Ten pomysł utkwił w głowie, zaraz jak tylko o tym pomyślał. Wszedł „Radio"

— Znalazłem radio — oznajmił — i działa. Prześledziłem jak idą do niego przewody i sprawdziłem połączenia aż do tego miejsca. Może pan zacząć nadawać w dowolnym momencie. Proszę użyć tego urządzenia, które jest tam. — Wskazał gestem na panel do połowy ukryty za wielką tablicą rozdzielczą. — Jest coś interesującego – znalazłem pełny zestaw wszystkich naszych kodów i szyfrów! Czy to nie podgrzałoby atmosfery w Sztabie Głównym? Mam tutaj parę – niech pan zwróci uwagę, że są wydrukowane cienką jowiszańską czcionką – pewnie rozesłali je po wszystkich swoich statkach.

MacKay zmarszczył brwi. Jeśli Kallistianie mieli wszystkie ich kody, nie mógł liczyć na poufną łączność z dyrektorem, Polluksem czy kimkolwiek innym. Gdyby przekazał, że rewolucja w Jowii była na granicy wybuchu, cesarz mógłby ją stłumić, zanim Ziemianie i ich sojusznicy będą mogli pomóc. Jednakże posiadane przez niego informacje były niezwykle cenne. Gdyby Rada miała je kilka dni wcześniej, nigdy by nie wysłali swojej nieprzemyślanej oferty pokojowej. Gdyby otrzymali je teraz, na pewno by ją odwołali.

— Trzeba się zastanowić — powiedział sobie MacKay i usiadł, żeby pomyśleć. Mózg miał zdrętwiały, a skóra znów go mrowiła. Niemal bał się zmierzyć się z faktem, coraz bardziej oczywistym z każdą chwilą, coraz bardziej wypychającym się na pierwszy plan. W tej właśnie chwili w jego rękach – podrzędnego porucznika, piątej klasy Rezerwy – spoczywały losy narodów Układu Słonecznego. Od tego co teraz zrobi lub czego nie zrobi, zależało wszystko. Bez względu na to, jak nieznaczne byłyby jego działania, reperkusje będą międzyplanetarne. To była przytłaczająca myśl dla kogoś, kto nigdy nie musiał podejmować żadnych poważnych decyzji, ani ponosić ich konsekwencji.

Minęło zaledwie koło minuty, gdy tak siedział w otrzeźwiających dociekaniach, chociaż wydawało mu się, że trwa to znacznie dłużej. Jęknął.

— Och, gdybym tylko wiedział, co by zrobił ktoś taki jak Bullard? On by na pewno coś wymyślił, założę się.

Myśl o Bullardzie była uspokajająca. Obraz kapitana pojawił się przed nim w myślach, żywy i wyraźny. Niemalże słyszał, jak do niego mówi, i przypomniał sobie dokładnie jego słowa z tej pamiętnej rozmowy. Były dziwnie prorocze.

„W nagłych wypadkach liczy się, jak pan wykorzysta to co pan wie – może być pan zdany na siebie samego – wszystko będzie zależeć od pańskiego osądu i zdolności do działania – proszę się nie bać robić to co pan musi – każde działanie jest lepsze niż żadne".

To była istota rzeczy. To była filozofia Bullarda w pigułce. Działać! Do diabła z torpedami, dalej naprzód! Przetnij węzeł gordyjski, jeśli nie było innego wyjścia.

Porucznik MacKay podjął decyzję. Może powieszą go za zdradę stanu, ale to, co zamierzał zrobić, było zgodnie z jego najszczerszym osądem, jedyną rzeczą, jaką można było zrobić w obecnych okolicznościach. Tego chcieliby ludzie ze wszystkich światów Układu. Kiedy znów się odezwał, przemówił mocnym, spokojnym głosem, z błyszczącymi oczami.

— „Radio"! Zacznij nadawać na zastrzeżonej dla Państwa długości fali – symbol priorytetu – pilny. Od Rady Sfederowanych Planet do Cesarza Jowii. „Szanowny Panie. W ciągu następnych dwunastu godzin wyda Pan dekret przyznający całkowitą i bezwarunkową wolność wszystkim swoim poddanym poza granicami księżyca Kallisto. Natychmiast odwoła Pan i unieruchomi wszystkie kallistiańskie pojazdy, ściśle związane z celami

wojennymi. Aby umożliwić uporządkowane wykonanie tych punktów, tymczasowo wycofaliśmy nasze siły. Jeśli nie zastosuje się pan do naszych żądań w wyznaczonym czasie, wznowimy działania zbrojne." Pomyślmy. Myślę, że to już wszystko. Podpisz zwykłym symbolem wysokiej pieczęci. Znasz go. Zrozumiałeś?

— Tak — powiedział „Radio", jego dłoń w stałym tempie wystukiwała wiadomość. — Wszystko poszło. Co teraz? — W oczach posiwiałego, starego radiooperatora widać było coś w rodzaju podziwu, choć mógł jednie odgadywać historię stojącą za tym co się działo.

— Puść mnie do klucza. Jestem może kiepskim operatorem, ale nikt poza mną nie zdoła sklecić tych wypocin. Wątpię, czy potrafiłbyś je nawet przeczytać.

MacKay usiadł. Całe jego skrępowanie wyparowało. Rąbał drwa na prawo i na lewo, i pozwalał by wióry padały tam gdzie mogły. Może popełniał śmieszne błędy w zapisie, gramatyce iońskiej lub ganimedańskiej, ale w ogóle go to nie obchodziło. Jeśli idea zostanie przekazana, to wystarczyło. Nie miała teraz znaczenia jego nieznajomość artylerii, inżynierii czy wszelkich innych spraw związanych z nautyką. Korzystał z tego, co znał – z języków planetarnych.

Siedział przez godzinę, klecąc dramatyczne apele do mieszkańców Io, Europy i innych, aby powstali i przepędzili swoich zaborców. Opowiadał, jak zrobiła to załoga *Dravala*, i mówił, że czeka, aż do niej dołączą. Obiecał wsparcie Ziemi i szybki powrót Floty Federacji, aby im pomóc, jeśli tylko wykażą determinację. Nadawał i nadawał, jego dłoń nie ustawała ani na chwilę. Wreszcie przerwał mu „Radio".

— Wezwanie na innej fali, panie poruczniku. To od admirała Alley Cat, czy jakoś podobnie. Mówi, żeby dał pan sobie spokój – już po wszystkim. Wykopali skądś gościa, który zna angielski. W każdym razie jest w drodze.

MacKay opadł na swój fotel. Nie wiedział, że zwykłym poruszaniem dłonią, tak bardzo można się zmęczyć. Jednak po chwili rozległo się kolejne alarmujące kliknięcie. Nadawano na fali państwowej, której właśnie używał. Zaczął słuchać.

„Pilna wiadomość dla Polluksa. Jeśli to możliwe, zawrócić i odnaleźć PK 331, którego użyto jako kuriera. Jego dowódca został dotknięty psychozą kosmiczną i wysyła szalone oraz niezwykle niszczycielskie komunikaty. Powstrzymać go, nawet jeśli wiązałoby się to ze zniszczeniem łodzi patrolowej.

Podpisano, Dyrektor."

— O rany — westchnął MacKay, — muszę to zaraz zacząć wyjaśniać. Ty będziesz nadawał – ja ci podyktuję.

Kiedy cała historia poszła w eter, MacKay wpadł w stan kompletnego kolapsu. Patrzył tępym wzrokiem na Terrella, który przyszedł zameldować, że instalacja zasilająca o całe mile przekraczała jego zdolności pojmowania, chociaż wydaje mu się, że chwilowo będą mieli światło.

— To nie ma znaczenia — powiedział MacKay ze znużeniem i zamknął oczy. Cała sprawa rozstrzygnie się wkrótce.

Następnego dnia admirał Jallikat sprowadził swoją eskadrę. W jej skład wchodziły *Tschasnick*, *Perl* i *Bolonok*, wszystko pancerniki, cztery krążowniki i kilka mniejszych jednostek. Admirał natychmiast wysłał wystarczającą liczbę ludzi, aby obsadzili *Dravala* i uruchomili go. Okręt powoli nabrał prędkości i ruszył na w stronę Ziemi, do miejsca, do którego kuśtykał z powrotem *Polluks*, próbując ich przechwycić.

— Polecę przodem w PK 331 — powiedział MacKay w chwili, gdy posłaniec poinformował, że *Polluks* został wychwycony przez czuły termoskop wielkiego statku. — To ja i tylko ja sam, muszę przyjąć konsekwencje swojego działania.

Porucznik Alan MacKay pozostawił swoją malutką PK zacumowaną do włazu wejściowego Polluksa i w milczeniu podążał za komandorem, który poprowadził go do kabiny kapitana Bullarda. Wszedł i stanął tuż za drzwiami, niecierpliwie czekając na to, co powie kapitan. Nie był zbytnio pewien co się stanie.

Bullard uniósł się zza biurka i bez słowa ruszył do przodu, aż stanął twarzą w twarz z młodym oficerem, nie dalej niż stopę od niego. Wyciągnął prawą rękę i dwoma palcami chwycił srebrną szpilkę na piersi MacKaya. Jednym zdecydowanym szarpnięciem zerwał ją, razem z nią odrywając kawałek materiału. Nie patrząc na nią, odrzucił ją za siebie, przez całe pomieszczenie.

— Przepraszam za to rozdarcie — oznajmił spokojnie Bullard. — Nie chciałem aż tak energicznie. Ale to, to je zakryje…

Z własnej piersi odpiął szeroką, ozdobioną gwiazdami, złotą nitką, wstęgę Krzyża Niebios.

— W końcu — stwierdził i tym razem się uśmiechnął — pan wygrał wojnę, podczas gdy ja wygrywałem tylko bitwy.

KOMENTARZ

Pozornie niewiarygodna sytuacja, przedstawiona w środkowej części tego opowiadania, wydarzyła się w niemal identyczny sposób podczas I wojny światowej, w 1918 roku.

Para austro-węgierskich pancerników *Zrinyi* i *Radetzky* poddała się amerykańskiemu ścigaczowi okrętów podwodnych. Ich stan był taki sam jak opisywanego okrętu, kapitulacja miała również ten sam cel. Załogi składały się z Dalmatyńczyków, przewidywały one rozpad Austrii i liczyły na powstanie Republiki Dalmacji. Z uporem odmawiały poddania się statkom włoskim lub francuskim, chociaż takie znajdowały się na Adriatyku. Nalegały na znalezienie amerykańskiego statku, ponieważ miały nadzieję, że zwrócimy im pancerniki jako jądro dla ich własnej floty. Największym, jaki udało się im się odnaleźć, był właśnie ten ścigacz.

Młody porucznik, który zajął Zrinyi, właśnie skończył college i nigdy nie był na pokładzie pancernika. Nie było jedzenia, poza produktami zastępczymi pozostawionymi przez Austriaków. Zorientowanie się, co do czego służy, zajęło im kilka dni, ponieważ załogi szybko zdezerterowały, gdy tylko statki znalazły się bezpiecznie pod amerykańską banderą. Ale amerykańscy chłopcy trzymali się, udało im się utrzymać parę i sterować statkami, dopóki traktat pokojowy ostatecznie nie ustalił sytuacji.

Ostatecznie zdobyli je Włosi i używali jako celi artyleryjskich. Były jak nasze *Connecticut*.

M.J.

KONIEC